POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 18 MAJA 1929 ROKU NR. 20

JERZY OSTROWSKI

3)

JAZONEJA

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

Za chwilę zapomnieli już o mocowaniach i zaczęli z dziecinną powagą oglądać wzajemnie swoją broń. Próbowano, mierzono do ściany i głaskano przeróżne rewolwery lub pistolety. Shmidt Cobusa zrobił też swoje wrażenie: po wyjęciu kul próbowano jego działania i z nabożeństwem zwrócono go wreszcie właścicielowi, który zazdrośnie wodził oczami za każdorazowym widzem, a w końcu z pośpiechem schował go do futerału.

Rozpierała ich ochota dokonania czegoś głośnego, użycia tych kuszących możliwością i siłą narzędzi.

— Viva! — wrzeszczeli — Viva Polaco!

— Viva o Bresil! — huczał z głębi piersi w odpowiedzi.

Ktoś pierwszy trzasnął w niebo, przez otwarte okno ze swego pistoletu. Za nim posypały się inne strzały. Nabijali gorączkowo i walili teraz raz po raz, jak w ogniu prawdziwej walki.

Naraz w drzwiach pojawiło się kilka sylwetek:

— O que é? — Co takiego? Co się stało? — pytały przerażone głosy.

Cobus poznał, jak przez mgłę, twarz Walerka Szuka i Weronki, gdzieś plątało się i kilku innych. Wydawało mu się nawet, że Weronka jest zapłakana.

Mulaci śmieli się z całego gardła, radosnym pijackim śmiechem, a on zwrócił się w stronę, gdzie mignęła mu twarz dziewczyny i krzyknął:

— Uciekaj, dziewczyno, bo tu się chłopy bawią!

Grupka widzów rozeszła się szybko, widząc, że nic niebezpiecznego się nie dzieje, a w chaosie łatwo można oberwać niewinnie.

A oni szaleli dalej, szukając, coby tu można jeszcze dokonać, ale tutaj, zaraz, na miejscu. Wreszcie pobili nieco grubych, małych szklaneczek do „cachasu" i płacili z pańską miną Syryjczykowi.

Do domu popowracali dopiero nad ranem.

Na drugi dzień w rodzinie Szuka krzywili się wszyscy, że Cobus pił z „czarnymi", nawet Walerek — oprócz starego. Ten uśmiechnął się tylko z dziwną pobłażliwością.

Nie zrobiło nawet na nim wrażenia zjadliwe powiedzenie żony Walerego na temat podejrzanego pochodzenia tych przepijanych pieniędzy. Co dziwniejsze, nie odpowiedział też nic na to Cobus, choć w pierwszej chwili poruszył się gwałtownie. Wszyscy czekali przez chwilę i patrzyli na niego z niepokojem, ale skończyło się — jak to często u niego bywało — tylko na pewnym siebie uśmiechu i silniejszem gwizdaniu. Walerka snuła się po kątach z czerwonemi oczami i milczała.

Messel natomiast chodził cały dzień między barakami i przystawał to z tym, to z owym. Grupki powstawały i rozpadały się żywo, jak to zwykle bywa w ważnych momentach, kiedy masa ludzka robi się „lepka" społecznie. Grupy te gestykulowały żywo, albo nagle zapadały w bezruch i stały z pochylonemi głowami, słuchając Messla. Było to nieco dziwne, wobec tego, że już wczoraj uradzono prawie ostatecznie nie pójść na roboty, aż będzie ustalony oficjalnie termin wymierzenia lotów.

Ale to duże zwierzę, jakiem jest gromada, ma swoje kaprysy zupełnie nieprzewidziane. Przy jej masie jest to zabawne, o ile nie jest groźne. Wygląda bowiem często, jak słoń, który się znarowił i bryka, ale w swoich podrygach może rozdeptać człowieka, nie mówiąc już o tem, że może wpaść w istotny szał.

A potem — trzeba doprawdy pamiętać o tem rozdrażnieniu, w jakiem pozostawali wszyscy ci przybysze: zabardzo im chwalono to wszystko, żeby nie nastąpiło rozgoryczenie, nawet gdyby zima była ładniejsza i ziemie natychmiast wymierzone. Wszystko było inne, niż w Starym Kraju, niż w ich kraju, — a więc — złe. Ludzie, dla których chleb był tak istotnem pożywieniem, którzy wspominali go codziennie przy modlitwie, dla których był on nietylko jadłem, ale postacią Najświętszego Sakramentu ich wiary — tu nie mogli go dostać. Pogodzić się jeszcze można było z ustawicznie podawaną czarną fasolą — „fiżonem", ale połykanie suchej i sypkiej „fariny" mandjokowej było dla nich poprostu torturą. Nie mówiąc już o tem, że mięso znali teraz tylko pod postacią suszonej na słońcu „szarki", przypominającej coś pośredniego między gumą a rozgotowanym rogiem.

Rozdrażnienie było więc silne. A rozdrażnienie niekoniecznie jest obroną przeciwko *danemu* zjawisku: może to być nabój, który można skierować byle gdzie, jak kulę z lufy, której jest zaiste wszystko jedno, gdzie ją wystrzelą. Psychologowie, którzy naogół nie mają przesadnej ambicji zastosowywania swej pięknej nauki do naszego skromnego życzenia — wyjątkowo opisali to zjawisko i nazwali je irradjacją uczuć.

Ucieszyłoby to bardzo Messla, gdyby znał ten mądry wyraz; on to bowiem szedł tegoż wieczora do

baraku starego Szuka na czele sporej gromadki mężczyzn, która niezachęcająco milcząc obsiadła ławki i skrzynie.

Początek rozmowy był oczywiście bardzo polityczny i daleki od jądra sprawy. Było tam i zdziwione współczucie na temat szybkiego wyzdrowienia Cobusa i poprzednich przejść, które zapewne musiały być wyczerpujące; było i napomknienie o nieufności tutejszych ludzi do gromady, na co mogły się złożyć różne przyczyny; wspomniano wreszcie o tem, że opór władz w wymierzaniu lotów może właśnie wynikać z tego powodu.

To był strzał istotnie najsilniejszy i musiał dobrze wežreć się w mózgi gromady, kiedy przyszli tak śmiało, jak na jaką „sprawę". Szuk chrząknął i wyprostował się. Przyjrzawszy się twarzy Messla, który głównie perorował, zrozumiał naraz, że pocisk nie jest wymierzony w Cobusa, lecz właśnie w niego, w starego samca, idącego na czele stada. Już chciał stary zabrać głos w swojej i jego obronie, gdy poruszył się sam Cobus. Zaczął zbierać niejako swoje słabe jeszcze i wiotkie członki, aż usiadł na tapczanie dziwnie łatwym i miękkim ruchem, ruchem dzikiego zwierzęcia, tak niepodobnym do określonych i zubożałych ruchów człowieka cywilizowanego. Obrócono się do niego ćwiećobrotem, czekając na obronę, która zgóry nie miała znaleźć wiary.

Cobus siedział w cieniu, poza obrębem ogniska i nie można było rozróżnić jego twarzy; dziwne było tylko, że nie słychać było z jego strony ani gwizdania, ani najmniejszego chrząknięcia. Jakby mu się zacięły szczęki.

Messel wysunął się naprzód i świecił swoją tępą kwadratową twarzą w samem świetle ognia. Miał ten niewyraźny uśmiech, który plącze się zwykle w przerwach między zdecydowanemi wyrazami twarzy, jak błazen w cyrku, podczas antraktów.

I naraz z ciemnego kąta rzuciła się wprost przez powietrze ciemna masa i Messel, porwany przez nią, zniknął ze swego prezydjalnego miejsca w kole. Pod którąś z ław rozległy się przyduszone chrapania i zduszone okrzyki, a za nim gromada się porwała z miejsc: — Messel leciał w niesłychanym pędzie, tyłem — ku drzwiom baraku, w które stuknął głową krótkiem, suchem uderzeniem. Gdy wstał — nie próbował nawet robić dobrej miny, ale wyszedł natychmiast — zataczając się — na dwór.

Kilku ludzi porwało się, aby unieruchomić Cobusa, ale on już stał spokojny, tylko rękę podejrzanie trzymał ztyłu pod kurtką. W tej chwili zakaszlał się i podczas kaszlu machał im ręką, żeby byli spokojni czy żeby zostali. Taki jakiś porozumiewawczy gest. Zatrzymali się, ale przewracało się w nich wszystko i patrzyli na Szuka, który istotnie siedział nachmurzony i srogo patrzył.

Naraz — ku ogólnemu dziwieniu — zaczął mówić Cobus, z tego miejsca, gdzie stał — na środku baraku, przeciwstawiony całej gromadzie. Głos miał chrypiący, a oczy przekrwione od kaszlu:

— Żadnego wy tu nademną prawa, psia!... ni kto inny. Dlatego — wolny jest kraj. Jak mi się zechce — to pójdę, ale nie ze strachu. A tłumaczył się nie będę, choćbym miał z czego. A czy mam — to moja sprawa. Jak mi kto jeszcze..."

Dyszał ciężko między jednem a drugiem zdaniem i wyrzucał je z taką dziką pasją, że się zdumieli: djabeł siedział w tym człowieku!

— Potem nagle odwrócił się obronnie ku drzwiom: usłyszał to, czego oni jeszcze nie słyszeli — kroki kilku ludzi. Drzwi się otworzyły i wszedł José, André, dwuch żołnierzy i za nimi Messel.

Cobus zwolna cofał się ku ścianie, uważnie obserwując ruchy nowoprzybyłych, ale uspokoił się, zobaczywszy uśmiechnięte miny.

Messel pokazywał go palcem, szepleniąc nieudolnie po portugalsku:

— Elle... elle... bandita!...

José odsunął delikatnie jego rękę, którą wskazywał na Cobusa i powiedział z przyjacielską wymówką:

— Ależ, sinjor, nie można obrażać kogoś w ten sposób!

Potem zasiedli wszyscy na ławach, José najbliżej ognia, w centralnem miejscu. Po chwili José rozejrzał się po audytorjum i podniósł teatralnie rękę.

— Panowie — rzekł. — Ja jestem tylko zwyczajnym sierżantem federalnego wojska i oczywiście nie potrafię wyrazić moich myśli tak pięknie i dobitnie, jak bym tego pragnął...

Gromada słuchała pilnie, choć rozumieli tylko oderwane pojedyńcze wyrazy, żołnierze zaś — pociągnięci narodowem zamiłowaniem do wszelkiej pompy, gestu i przemów — zwrócili się cali do mówcy. W momencie, kiedy zawiesił głos, zaprotestowali grzecznie przeciwko jego skromności:

— Nie godzimy się! O, skromniś!

José zrobił półukłon w ich stronę i ciągnął dalej, wzruszając się sztucznie, według ceremonjału uznanego przez zwyczaj. Głos drgał mu coraz bardziej tragicznie i jakby nieco płaczliwie:

— Tak, nie potrafię wyrazić swych myśli dostatecznie dobitnie, ale jestem pewien, że moi słuchacze — którzy są tak subtelni, tak inteligentni, tak dystyngowani — dopowiedzą sobie w duszy to wszystko, czego będzie brakować w mojej mowie.

— Bardzo dobrze — mruknęli żołnierze i André, znowu według ceremonjału.

— Rozumiem doskonale, panowie, — ciągnął rozgrzany José. — Jak ciężko jest opuszczać swoją ziemię rodzinną, ziemię, która nas wykarmiła swą piersią, jak matka. Ale zważcie, że przybywacie do wielkiej, sławnej ziemi, do wolnej, szlachetnej, gościnnej Brazylji!...

Te nieco banalne a patetyczne zdania brzmiały w języku romańskim jakimś majestatycznym oddźwiękiem starej mowy łacińskiej i zachwycały zarówno słuchaczy, jak samego mówcę. Mówił jeszcze dość długo, modulując przesadnie głos, a kiedy skończył — zrobił okrągły gest w stronę André'go i poprosił o przetłumaczenie.

Nieco skonfundowany Andrée zaczął wykładać swoją dziwaczną i mieszaną gwarą główny sens mowy José'go:

— Chodzi o to, że niby tu, w „interiorze" i wogóle w Brazylji, jest „liberdade" i każdy musi sam dbać o swoją „honrę" i „sua propriedade". „Um verdadeiro homem" nie woła zaraz „soccoro", jak go kto zaczepi, bo od tego ma „fakon" albo „pikapau". A potem on powiada, że taki „distincto i fino cavalheiro" nie mógł bez powodu napaść na Messla. I że tylko tchórzliwy „sujeito" może lecieć po „autoridades", jak go kto „offendeu".

Brazyljanie kiwali głowami, kiedy usłyszeli zrozumiały dla siebie wyraz, kiwali też głowami, ale w pewnem pomięszaniu i niepokoju — przybysze. To była pierwsza wyraźna nauka nowego kodeksu, którą usłyszeli i — przeraziła ich ona nieco.

(D. c. n.).

TRÓJKA TREFL

8)

Spojrzał na zegarek. Było wpół do piątej. Niebo zachmurzyło się. Zdawało się, na śnieg. Cairsdale nie chciał, ażeby zaskoczyła go zadymka w lesie; zapiął futro pod szyję i zawrócił. Ławka była już pusta, kobieta siedząca na niej wstała i podążała ku ścieżce. Była smukła, szczupła, z pod czarnego kapelusika wymykały się długie krucze loki. Bladość cery dziwnie kontrastowała z temi włosami. Nagle wspaniałe okrycie rozchyliło się i Cairsdale ujrzał sznur pięknych pereł na mleczno białej szyi. Twarz kobiety zwróciła się w jego stronę i Godfrey pochwycił spojrzenie pełne słodyczy i tęsknoty...

— Pan... — rzekła po angielsku.

VII.

WIZJA PRZESZŁOŚCI.

Zwolna padały płatki śniegu. Godfreyowi, gdy spoglądał na ten obraz dalekiej przeszłości, zdawało się, że wracają lata młodzieńczych przeżyć.

Jego pierwsza idylla miłosna posiadała podobne tło: zimowy krajobraz, drzewa uginające się pod ciężarem śniegu. Czyż nie było dziwne, że Walerja ukazywała mu się teraz, w tej samej ramie?

Minione dni wyłaniały się z zapadającego mroku. Zdawało mu się, iż ślizga się znowu na zamarzniętym stawie i raz po raz spogląda ku brzegowi, oświetlonemu przez pochodnie i wsłuchuje się w tętent nadjeżdżających sani, zaprzężonych w bystre, lekkie konie.

Jak dzisiaj, stała Walerja twarzą zwrócona do niego. Policzki pokrywały rumieńce, oczy błyszczały radośnie, na futrze migały płatki śniegu — tak, jak w tej chwili i wyciągała do niego swoją drobną rączkę w białej rękawiczce, rzucając przez ramię serdeczne spojrzenie swojej zacnej opiekunce, starej baronowej von Matsera, która drżała z lęku i gniewu.

Przypomniał sobie ten dzień rozstania. Jak żywo stał w jego pamięci. To pożegnanie, które miało być ostatniem, chociaż żadne z nich nie spodziewało się tego. Widział ceremonjalny ukłon, w jakim pochylił się przed „Jej Książęcą Mością", wdzięczne i miłe ruchy Walerji, wtulonej w kosztowne futra i zagłębionej w saniach... Lecz oczy Walerji odbijały jeszcze słodkie wspomnienia pocałunków, tych gorących namiętnych pocałunków, jakie oszołomiły ich tam w cieniu, na zamarzniętym stawie.

— Jej Książęca Mość!

Instynktownie wyrwał mu się ten okrzyk! Lecz uświadomił sobie natychmiast, że nie był już na miejscu. Nie istniał dwór cesarski, nie było książąt, ani arcyksiążąt...

Przyszła mu z pomocą, obrzucając go miękkiem spojrzeniem.

— Dawniej nazywałeś mnie „Walerją" Godfreyu... mówiłeś poprostu Wali.

Jej głos był niski i biorący. Ileż wrażeń, wspomnień, uczuć wywoływał w Godfreyu! Sposób, w jaki wymawiała jego imię, brzmiał, jak pieszczota. Może zmieniła się trochę. Może była bardziej opanowana, niż przed laty. Może straciła ten wdzięk wiośniany, ale uroda jej rozkwitła i była pełna majestatu. Minione lata nie pozostawiły na niej żadnego śladu... A przecież przeszło już dziesięć lat od dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy i rozpoczęła się ta szalona przygoda.

— Przypomina pan sobie jeszcze... — zapytała.

Czy pamiętał! Czyż jest taki mężczyzna, któryby nie pamiętał swojej pierwszej miłości, jej porywów, wzlotów, słodyczy i goryczy, gdy przybiera tragiczny obrót?

Bowiem rezygnacja jest rzeczą tragiczną w dwudziestym roku życia. Z ostrem uczuciem bólu, jakie powoduje otwarcie się zabliźnionej już rany, przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Było to na balu w operze wiedeńskiej, podczas karnawału.

Na jaskrawo oświetlonej widowni i scenie tłum w maskach śmiał się, krzyczał i tańczył, podczas gdy osoby wysoko postawione oraz damy z towarzystwa, ubrane w wspaniałe toalety, połyskujące od biżuterji, spoglądały z lóż na to widowisko.

Znaleźli się twarzą w twarz, na widowni, gdzie żadna dama z wykwintnych sfer nie powinna była szukać przygodnych znajomości i zjawić się tutaj, bodaj w masce. Lecz Godfrey był za młody, ażeby znać się na wiedeńskiej etykiecie. Stanął w jej obronie, gdy jakiś pijany oficer starał się zerwać maskę z jej twarzy.

Miał wrażenie, że przeżywa tę scenę: podczas gdy wyrywała się z brutalnego uścisku, jedwabne domino zsunęło się z ramion, ukazując marmurowe ramiona. Prawie przez całą noc tańczyli z sobą. Godfrey nie odstępował jej ani przez chwilę, a z pod czarnej maski oczy błyszczące i głębokie wpatrywały się w niego bezustannie. Zaklinał ją, ażeby odsłoniła swoją twarzyczkę, która musiała być równie piękna, jak jej postać, ale nie chciała się zgodzić, i ta uparta odmowa podniecała zmysły młodzieńca.

Kiedy wypoczywali po tańcu w jakiejś słabo oświetlonej loży, zagrał w nim temperament... chciał ucałować jej usta... lecz wyniosła pogarda, z jaką go potraktowała, była nieomal obraźliwa.

Kazała mu odejść, ale przedtem uniosła maskę i ujrzał twarzyczkę niezwykłej urody.

Działo się to w kilka dni po jego przyjeździe z Anglji, i nie wiedział, kim była ta piękna maska.

Miał ją spotkać i poznać niebawem.

Po kilku dniach, kiedy przechodził przez wewnętrzny dziedziniec Hofburgu, usłyszał okrzyki: „Z drogi!", ujrzał straż, salutującą przed pojazdem. W powozie znajdowała się jego znajoma z reduty w operze. Widział, ze ściśniętem sercem, jak odpowiadała uśmiechem na powitanie straży, która ustawiła się szpalerem, i na okrzyki tłumu. Pojazd wjechał do bram pałacu i Godfrey zwrócił się do stojącego obok mężczyzny, z zapytaniem, kim była piękna dziewczyna.

— Nie wie pan? — zdumiał się Wiedeńczyk — jakto, nie zna pan księżniczki Walerji, „Wali die Einzige", jak ją zowiemy u nas w Wiedniu.

„Die Einzige", jedyna! Ta szczupła młoda panna, córka arcyksięcia Michała, była, jak mu powiedziano później, jedynym urwisem „enfant terrible" w całej kohorcie arcyksiążąt i arcyksiężniczek, która

to, drżąc z trwogi, poddawała się surowej etykiecie, dyktowanej przez starego cesarza.

Walerja, wychowana w ponurym zamku węgierskim —, gdzie przez długie lata mieszkał jej ojciec, wydalony z Wiednia przez cesarza, za wybryki młodości, czy jakieś nieporozumienia, — przeniosła się w piętnastym roku życia do Wiednia. Tutaj musiała podlegać ceremonjałowi dworskiemu, tęskniąc za swobodą.

I coraz to popełniała jakiś błąd, jakiś lekkomyślny krok, więc wciąż mówiono o jej zabawnych eskapadach. Z dumą oświadczała, że jest Węgierką. Madziarowie uwielbiali ją za jej patrjotyzm, a Wiedeńczycy ubóstwiali za jej humor.

Godfrey został jej oficjalnie przedstawiony na balu w włoskiej ambasadzie, a następnie spotkał ją przelotnie na ślizgawce w okolicach Wiednia.

Idylla, rozpoczęta na balu w operze, trwała przez sześć tygodni, pełnych szczęścia i szału młodocianego, a potem...

Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, Godfrey zaczął mówić głośno o rozłące. Oderwano ich od siebie bez litości! Nie dopuszczono nawet do pożegnania.

Podczas gdy śnieg tańczył dokoła nich, obsypując ich bielą, Walerja jęła go wypytywać, co się z nim stało po opuszczeniu Wiednia.

— Gdyby podówczas ambasador angielski nie był zależny od mojego ojca, usuniętoby mnie z dyplomacji. Wysłano mnie do Tokio i po dziś dzień widok Japończyka jest dla mnie straszny!... A pani?

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Umieszczono mnie w klasztorze i Wielebna Matka zagroziła, że zwróci się ze skargą do Watykanu, jeżeli nie zabiorą mnie. Co miano zrobić? Wydano mnie za mąż...

Godfrey pochylił głowę.

— Pamiętam. Poślubiła pani jakiegoś niemieckiego księcia. Dało to pani szczęście?

Głosem nabrzmiałym od gniewu i żalu odpowiedziała:

— Gdyby nie był umarł, sama bym go uśmierciła.

Białe płatki śniegu padały na ziemię.

— Zamieć — rzekła Walerja — trzeba wracać, pomoże mi pan zejść i opowie po drodze, jaka szczęśliwa gwiazda przywiodła pana tu, na Węgry.

Wzięła go pod ramię, tak jak dawniej, i miał wrażenie, że się do niego przytuliła. Biła od niej woń fijołków; przypomniał sobie, że dawniej używała tych samych perfum. Dostał zawrotu głowy. Ileż to razy w Tokio, podczas pracy wspominał ów zapach!

— Pan jest w legacji — zapytała — w Budapeszcie?

Godfrey opanował się. Zdawał sobie doskonale sprawę, ile niebezpieczeństw mogą wywołać odpowiedzi na pytania młodej kobiety!

— Nie, znajduję się chwilowo na urlopie i przybyłem tutaj w celu przeprowadzenia studjów nad wykopaliskami w Haczu, łącznie z profesorem Nagy.

— Doprawdy? Pamiętam, że już przed laty interesował się pan archeologją. Mieszka pan w Haczu?

— Nie — podjął Godfrey — uważałem, iż będzie mi znacznie dogodniej ulokować się w willi, po drugiej stronie lasu.

Padał coraz gęstszy śnieg i zaczął już zapadać mrok. Musieli stąpać bardzo ostrożnie. Cairsdale szedł z opuszczoną głową, wpatrzony w ścieżkę podążającą w dół. Nie zauważył więc, że po ostatnich jego słowach twarz Walerji zbladła i skrzywiła się boleśnie.

— Mój Boże — zawołała po chwili — musi się pan zanudzać na śmierć, mój biedny Godfreyu. A w dodatku, przy tej pogodzie, nie może pan oddawać się swojej pracy łącznie z kochanym, zacnym profesorem Nagy. Od jak dawna jest pan tutaj?

— Zaledwie od ośmiu dni — odparł.

— Mam doskonałą myśl! — rzekła Walerja. — Zabiorę pana natychmiast ze sobą, do mojego przyjaciela, u którego jestem w gościnie. Tak jest, porywam pana!

— Pani jest niesłychanie miła i uprzejma, ale proszę mi wierzyć, to niemożliwe!. Nie... mam ubrań odpowiednich dla tego rodzaju odwiedzin.

— Wszystko jedno! — zawołała — moje sanie są w Wolfsbadzie. Pojedzie pan ze mną, a następnie każę posłać po pańskie rzeczy do willi.

— Sprawiłoby mi to największą przyjemność, ale mam wrażenie, że byłoby słuszniej nie myśleć nawet o tem...

— Nie, nie — krzyknęła. — Ja chcę!

Mówiła tonem tak stanowczym, iż głos Godfreya stał się ceremonialnym i obojętnym.

— Zapomina pani, że wojna zmieniła sporo rzeczy i wątpię, czy pani przyjaciołom byłoby miło, gdyby zjechał do nich w gościnę anglik.

Zwróciła się do niego serdecznym tonem.

— Godfreyu — rzekła miękko — nie bądź taki zimny i odległy. Pojedziesz ze mną, gdyż pragnę tego tak gorąco i mam ci tyle do powiedzenia! Chciałabym porozmawiać z tobą, o tym najpiękniejszym, szalonym okresie naszej młodości! Pamiętasz jeszcze, jak upadłam na lód i zraniłam się o twoje łyżwy. Pozostał znak...

Odchyliła rękaw i Godfrey spostrzegł podłużną bliznę na ręce.

— Tyle cudnych wspomnień łączy nas, Godfreyu. Powiedz, że się zgadzasz.

— Żałuję... — zaczął.

— Hrabia Gellert, u którego goszczę, przyjmie z największą radością jednego z moich przyjaciół.

Godfrey Cairsdale spojrzał na nią badawczo.

— Bawi pani u hrabiego Gellerta?

— Tak jest. W zamku Kès. Przybyłam tam dziś rano. Zna pan hrabiego?

— Nie, lecz słyszałem o nim.

— Więc, proszę się zgodzić i przyjąć moje zaproszenie!

Ściskała go za ramię i oczekiwała jego odpowiedzi z takim niepokojem, iż — zdawało się — nie zauważyła nagłości, z jaką zdecydował się.

— Jeżeli pragniesz tego istotnie, Walerjo... skorzystam z twojego zaproszenia.

Wyciągnęła do niego dłoń i uścisnęła go serdecznie. W cieniu drzew było już zupełnie ciemno. Nie zauważył Godfery blasku zwycięstwa, który zamigotał w płomiennych oczach jego pięknej towarzyszki.

— A czy mógłbym razem z moim bagażem sprowadzić też do zamku mojego służącego? — zapytał.

— Naturalnie. Poślę tam Janosza, gdy tylko odwiezie nas do zamku. Chciałam ci powiedzieć, że nie używam mojego tytułu, i każę się nazywać poprostu baronową von Greisbach.

(D. c. n.).